



Baon sztabowy w Szkole Kadeckiej.

dzieliśmy w Warszawie, że zupełnie „zendecka”. Zarzewie lwowskie reprezentowali: E. Rumun i R. Lutman. Przyjemną niespodzianką była obecność szeregu studentów, którzy niedawno przybyli do Lwowa z uniwersytetów rosyjskich. Byli więc koledzy z Kijowa, Charkowa, a nawet z Moskwy. Kijów reprezentował czarny jak noc, bardzo wówczas lewy, Władysław Korsak.

Herbatka odbywała się w nastroju podniecenia. Gdyśmy się bowiem schodzili Dom Akademicki zapełniony był akademikami, zarówno w ubraniach cywilnych, jak i w wojskowych mundurach austriackich i legionowych. Znoszono broń. W mieście rozeszły się alarmujące pogłoski, że Ukraińcy przy pomocy Austriaków projektują lada godzinę opanowanie Lwowa. Pod koniec herbatki nadeszły jednak wiadomości uspakajające. Gdy wraz z Miecikiem Jakubowskim opuszczaliśmy około północy Dom Akademicki, aby udać się na naszą kwaterę na ulicę Fredry, nie było już ani śladu mobilizacyjnych przygotowań. Sale Domu Akademickiego były puste.

Nazajutrz o godz. 8 rano obudził nas nasz gospodarz dr Wyrzykowski słowami: „Jesteście w ruskim Lwowie”. Ubraliśmy się błyskawicznie i ruszyliśmy razem na miasto. Krótkie godziny spędzone w Lwowie dawały dużo do myślenia. Otwierały oczy na ogrom trudności, które będą towarzyszyły odradzeniu się naszego państwa. Jeszcześmy sami nie odzyskali niepodległości, a już obce ręce usiłują poróżnić nas z narodem, z którym wspólnie od wieków zamieszkujemy wspólną nam ziemię. Żeby pokrzyżować plany tych obcych interwencji, trzeba będzie chwycić za broń. Innego wniosku nie widzieliśmy. Przekonani o jego słuszności biegliśmy z Jakubowskim przez jeszcze nieznaną nam, piękną Lwów, aby dotrzeć do Biblioteki Słuchaczy Prawa na ulicy Małeckiego, gdzie miało się odbyć otwarcie zjazdu. Na ulicach krążyły patrole ukraińskie i słychać było odgłosy strzałów. W Bibliotece panowało zrozumiałe podniecenie, lecz gospodarze radzili rozpoczynać obrady, wyrażając nadzieję że wszczęte z Ukraińcami pertraktacje skończą się pomyślnie.

Wbrew głosom warszawskiego Narodowego Zjednoczenia Młodzieży i lwowskiej organizacji zetowej zostałem przewodniczącym zjazdu. Sekretarzem wybrano koleżankę Bujwidównę z Filarecji lwowskiej. Zupełnie nie pamiętam przebiegu obrad w dniu 1 listopada, pamiętam tylko, że były bardzo chaotyczne. Nie kleiły się. Interesowały nas bardziej wiadomości o sytuacji we Lwowie i o pierwszych walkach między Polakami i Ukraińcami. 2 listopada po południu, zjazd przyjął tylko jedną uchwałę w sprawie ukraińskiego zamachu, wzywającą młodzież do walki w obronie Lwowa. Mimo, iż uchwała sformułowana była w stosunku do Ukraińców niesłychanie powściągliwie, złożył przeciwko niej votum separatum przedstawiciel Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej z Warszawy - Wacław Brunner. Ale tegoż dnia jeszcze, podobnie jak większość uczestników zjazdu, znalazł się wśród pierwszych obrońców polskiego Lwowa.

Z Tadeuszem Jankowskim broniliśmy Lwowa na odcinku Szkoły Kadeckiej. Tworzył ten odcinek wysuniętą reductę, atakowaną zaciekle przez Ukraińców od strony Cytadeli, parku Stryjskiego i Drogi Wóleckiej. Od pierwszych dni walk do pamiętnego dnia 17 listopada przechodziliśmy, istotnie, ciężkie chwile. Trzymaliśmy półtorakilometrowy odcinek, a ludzi było mało, śmiesznie mało. Czasem w chłodne listopadowe dni i noce siedzieliśmy po kilkanaście godzin

bez przerwy w okopach. Byliśmy stale niedospani i wymęczeni nieustanną służbą, alarmami i wypadami. Obiecywane wzmocnienia nie nadchodziły, a wiedzieliśmy, że oddziały ukraińskie, złożone z wycwiczonego, regularnego żołnierza austriackiego, rosną wciąż na sile. Czasem sytuacja wyglądała beznadziejnie. Nieraz zdawało się nam, że ten pierwszy chrzest bojowy będzie równocześnie ostatnim. Nie rozporządzaliśmy żadnym działem, a jedynie karabin maszynowy umieszczony na którymś z górnych pięter Szkoły Kadeckiej, niezmordowanie pracujący w czasie ataków ukraińskich, wydawał się jakąś dziecinną zabawką w porównaniu z celnym i gęstym ogniem artylerii ukraińskiej, zasypującej broniony przez nas odcinek. Artyleria ta wykurzała nas kolejno z różnych pięter Szkoły. Ledwo umiściliśmy się na drugim, już trzeba było przenosić się na pierwsze, potem na parter, wreszcie do piwnic.

Większą część służby spędzałem z Tadeuszem Jankowskim w okopie. Gadaaliśmy o wszystkim. Robiliśmy analizy sytuacji politycznej, bez posiadania jej elementów. Zwłaszcza w pierwszych dniach walk nie wiedzieliśmy dostownie nic, co się dzieje na świecie poza naszym odcinkiem Szkoły Kadeckiej. Ba, nie wiedzieliśmy, co się dzieje na innych odcinkach frontu. Nie wiele więcej wiedzieli nasi lwowscy ko-



Szkoła Kadecka. Zdjęcie z lat trzydziestych.

ledzy zetowcy Włodzimierz Koskowski i Kazimierz Tyszka, którzy wraz z dzielną medyczką Prokopowiczówną kierowali punktem sanitarnym odcinka. Nie wiedzieliśmy absolutnie nic, co się dzieje w Warszawie. To nagłe odcięcie od wszelkich wiadomości, było czasem znacznie przykrzejsze od zmęczenia i świadomości, że jest nas mało, bardzo mało i że pewno więcej nie będzie.

11 listopada rano odparliśmy jeden z cięższych ataków ukraińskich, lecz wieczorem był alarm i znowu całą noc trzeba było spędzić w okopie. Byłem tak wyczerpany, że Koskowski dał mi kilkunastogodzinny urlop „na zdrowie” do Lwowa. Po raz pierwszy od tygodnia zdjąłem z

siebie mundur, wykapałem się i wyspałem w gościnnym domu zacnych, nieznanych mi przedtem ludzi pp. Krzysztofowiczów. Dostałem od nich parę gazet, które do nas nie docierały, a przede wszystkim dowiedziałem się, ku swej nieopisanie radości, że w dniu 11 listopada wrócił do Warszawy Józef Piłsudski i że Warszawa jest wreszcie wolna.

Wypoczęty i podniesiony na duchu wracałem z mego urlopu na Szkołę Kadecką, aby podzielić się tymi wieściami z lwowskimi towarzyszami broni, u których wraz z Tadeuszem byliśmy w dużej estymie. Nazywano nas „warszawistami w cwikierach” ponieważ obaj nosiliśmy binokle, a jeden z naszych żołnierzy - chłopiec z księgarni Altenberga, zwracał się do nas per „pan doktor”. Lubiliśmy go bardzo, gdyż przy każdej okazji występował cały repertuar piosenek lwowskich, poczynając od popularnej „Z cytadeli ciągną chmury”.

Długo tej nocy rozmawialiśmy w okopie z Jankowskim o jedenastym listopada. Powrót Piłsudskiego dawał nam spokój i wiarę, że wszystko teraz potoczy się właściwą koleją. Zacząłem nawet wierzyć w zapowiadane stałe posiłki. Lecz nawet radosna wiadomość, że Warszawa jest wreszcie wolna, że stała się stolicą niepodległej Rzeczypospolitej, nie była w stanie złagodzić uczucia rozgoryczenia do losu, który sprawił, że, wbrew moim najgorętszym marzeniom, byłem w tym historycznym dniu z dala od rodzinnego miasta. W ogóle wszystko układało się wbrew temu co dyktowała młodzieńcza wyobraźnia. Nie wyobrażałem sobie więc nigdy, by akt przywracający memu miastu majestat stolicy niepodległego państwa mógł się odbyć w czasie mej nieobecności. Byłem również przekonany, że tylko z Warszawy ruszać będą na wojenkę. W roli wrogów widziałem zawsze bądź Rosjan, bądź Niemców. A tu już od kilkunastu dni, jak na złość, wojują z Ukraińcami, których nigdy przedtem na oczy nie widziałem i za wrogów narodu polskiego nie uważałem. Ani przez chwilę nie miałem najmniejszej wątpliwości, że trzeba się bić, lecz walczyłem bez wewnętrznego entuzjazmu, bez, że tak powiem, tego smaku, z jakim pospołu z kolegami prałem w Warszawie na Mokotowskiej policjantów niemieckich. A w dodatku skąpe wiadomości zasięgnięte we Lwowie głosiły, że w całym Królestwie toczą się walki z wojskami niemieckimi. Zwierzałem się z tych pretensji do losu cierpliwemu Tadeuszowi, siedząc z nim w olbrzymim, głębokim okopie na wprost Cytadeli, skąd celnicy strzelcy ukraińscy urządzali niebezpieczne polowania na obrońców Szkoły Kadeckiej.

17 listopada stał się datą przełomową w dziejach walk o Szkołę Kadecką. Ukraińcy postanowili za wszelką cenę zdobyć naszą reductę. Było przepiśowe, długotrwałe przygotowanie artyleryjskie, a potem ze wszech stron ruszyły do ataku bataliony piechoty ukraińskiej. Do dziś nie rozumiem, jakim cudem nie wykurzyli nas ze szkoły i jak się to stało, że zasileni w ostatniej chwili przez słabą pomoc, ruszyliśmy do kontrataku, zmuszając Ukraińców do opuszczenia całego parku Stryjskiego. Już po południu 17 listopada pełniłem dumnie służbę na ulicy Św. Zofii.

Od 17 listopada nastrój na naszym odcinku uległ radykalnej zmianie. Wstąpiła w nas pewność, że wszystko skończy się pomyślnie. Coraz głośniejszą zaczęto mówić o odsie-

czy, która zdąży nam na pomoc. Po zwycięstwie 17 listopada liczyłem już tylko dni, dzielące nas od wyzwolenia Lwowa z nietajoną nadzieją, że zaraz potem uda się warszawiakom wrócić do Warszawy.

Tym razem nadzieje moje spełniły się całkowicie. 22 listopada Lwów został uwolniony. Witaf nas rozradowały. Miasto szalało, dzieląc się z obrońcami wszystkim. Byliśmy dumni i szczęśliwi, lecz kulminacyjnym punktem radosnego nastroju tego dnia była wiadomość, że już nazajutrz 23